

Imprezy

XVIII Dni Poezji Broumov

Wjeżdżając na ziemię czeską, z daleka dostrzeżliśmy ogromną bryłę benedyktyńskiego klasztoru z wysokimi wieżami zwieńczonymi krzyżem i rozłożyste, pokryte blachą spadziste dachy.

W ogromnej łukowej sali malowanej na złoto wita nas organizatorka festiwalu Pani Věra Kopečká (poetka, translator, wydawca, autorka 25 tomów wierszy, dziesiątek antologii, tłumaczona i wydawana na polski, ukraiński, rosyjski, bułgarski i wietnamski, matematyk po Uniwersytecie Karola w Pradze, teatrologii i prezentacji poezji tejeż uczelni). Wręczając na powitanie almanach festiwalowy *Našlapování v podzimmím listí*, wydany w sześciu językach i folder z programem.

W sali gościnnej przy ciężkich dębowych stołach poeci raczą się kanapkami i kawą rozpustną (że Czeszki są rozpustne to wiedziałem, ale kawa?). Czułe powitania, rozmowy, wymiana publikacji, prezentacja zdjęć na smartfonach z własnych spotkań autorskich.

Punktualnie o 17:00, co w Czechach nie jest takie oczywiste, w sali wizytowej rozpoczyna się prezentacja gości. Wprowadzenie Věry, słowo wstępne władz Broumowskiego Kraju, kwiaty, brawa.



Fot. František Tylšar

Poeci czytają wiersze z almanachu, w którym pomieszczono siedemdziesięciu autorów. Pięknie rozbrzmiewają głosy w klasztornej sali, gdzie czuć ducha zakonników i lekki powiew sukni opata biegnącego może do słodowni, sprawdzić czy braciszki nie przesadzają z degustacją złocistego płynu. Pomny, że kiedyś spalili browar.

Słowacka piosenka barwiona melodią gitary dodaje nastroju, podskórnie czuje się jej melodyjność. Czytają Leszek Brągiel, Adriana Jarosz, Witold Hreczaniuk, Zbigniew Niedźwiedzki Rawicz, Wojciech Ossoliński. Moja kolej – prezentuję *Rocznice*. Jako jeden z niewielu mam przekład na czeski, tu wyręcza mnie... Jaroslav Schnerch. Po mnie Jarmila Synková i Jasio Szczurek. Věra prowadzi żelazną ręką, nie ma bezproduktywnego gadania. Dźwięcznie brzmi bułgarski w ustach Dimany Ivanovej poetki z Varny, następnie prezentuje własny utwór w języku gospodarzy.

Krynice witają gości gorącą kolacją. Jesteśmy zakwaterowani w dawnej szkole, obecnie schronisko młodzieżowe. Kilka pokoi czteroosobowych. Nam z opolskiego przypada „kombinat” (20-osobowy). Jest i „kombinat” kobiety. W grupie łatwiej się integrować.

Wieczorne warsztaty polegają na wypisaniu własnego imienia, nazwiska i miejscowości. Z

ich liter należało ułożyć dziesięć rzeczowników. Następnie ułożyć wiersz. Ot taka zabawa słowem, te rzeczowniki wymieniamy z sąsiadem. Mnie przypadły po czesku i... dzięki Bogu warsztaty się zakończyły.

Stały punkt towarzyski to wizyta w gospodzie *U schladka*. Prowadził ją kiedyś stary szynkarz Jozef, siedzący z poetami do białego rana, zasłuchany w ich rozmowy. Potakujący głową. Odszedł na emeryturę – gospoda podupadła. A nas powitała brakiem piwa. W Czechach zabrakło piwa. Kto da wiarę?

Sobotnie przedpołudnie typowo warsztatowe. Dr Dimana Ivanová z prelekcją na temat przekładu wierszy. Daje przykłady z tłumaczeń bułgarskiego wieszca na czeski. Pokazuje, gdzie popełniano błędy. I stwierdza, że nie oddają ducha poety. Prawdziwy translator powinien być poetą, dobrze znającym oba języki i w dodatku wyczuć liryczne. Joasia Słodyczka dodaje „przekłady są jak kobiety – piękne albo wierne”.

Miosroszów po polskiej stronie – druga część festiwalu – wernisaz malarstwa poplenerowego. I monodram poświęcony tutejszemu poecie Zdzisławowi Żurkowi w piętnastą rocznicę śmierci. Zabarwiony filmem dokumentalnym nakręconym pod koniec życia poety, które nie było łatwe. Wyobcowany w społeczeństwie, wcześniej owdowiały, żyjący na granicy dwóch światów.

Prezentacja wierszy (stoły ustawione w podkowie) przy uroczystej kolacji, do której zasiadła także publiczność. Miała podniosły charakter. A znakomity bigos przeniósł nas do gościny staropolskiego dworu. Są miejsca, gdzie poetę traktuje się z należytym szacunkiem, a z słów jego czerpie się energię na dni powszednie.

Jerzy Stasiewicz

„W dźwięku trwam”

słowa / padają /
deszczem i gradem (...)

Tak, to fragment wiersza. Napisałam go kilka lat temu, przytłoczona nagłym uzmysłowieniem sobie faktu, że ludzie nie są wstanie wypowiedzieć wszystkiego, co mają w głowach. Czy bardziej wzniośle: w sercach. Po prostu gdzieś w sobie. Poeta też człowiek, też nie potrafi. Zbyt mało jest na świecie słów, zbyt wiele znaczeń. Ale zadaniem poety jest próbować. Ciągle i od nowa. Inaczej poeta nie byłby poetą.

18 września w Mokotowskim Centrum Integracji Mieszkańców usłyszeliśmy słowa. Słowa poetki. 55-lecie, a właściwie całokształt pracy twórczej, obchodziła pani **Lidia Kosk**.

Pani Lidia – kobieta-instytucja, jak to się kiedyś mówiło (a może i teraz jeszcze tak się mówi?). Nie tylko pisze (kilkanaście wydanych dotąd tomików wierszy i prozy, liczne publikacje w kraju i za granicą), ale też fotografuje, prowadzi warsztaty literackie dla dzieci i seniorów, stoi na czele stworzonego przez siebie Amatorskiego Teatru Poetyckiego... Pamiętają Państwo spektakl „Niknące prawa człowieka”? To właśnie jedna z autorskich sztuk tego Teatru.

Zawsze mnie zastanawiało, jak pani Lidia znajduje na to wszystko czas, skąd czerpie owe nieprzebrane zapasy energii. Jedyna odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, brzmi: z samej twórczości. Twórczość to chyba jakiś rodzaj perpetuum mobile: dodaje autorowi tyle samo energii, ile mu jej odbiera akt kreacji. Może nawet więcej...



Lidia Kosk

Dom kultury przy Woronicza 44, mały żółty budynek z czerwonym dachem – kurczaczek, jak zwykła go nazywać bohaterka wieczoru. Druga połowa września. Pani Lidia energiczna jak zawsze, jak zawsze uśmiechnięta. Sama niejednokrotnie zdradzała w wywiadach drugie źródło tej promiennej witalności: jest nim natura. Drzewa – najczęstszy temat jej subtelnych, nastrojowych zdjęć. Przestrzeń. Wiatr. Szum wiatru jest jak muzyka – mówi pani Lidia. – Jest jak jazz...

Płynie muzyka. Autorka czyta wiersze, odpowiada na pytania Danuty E. Kosk-Kosickiej, swojej córki i tłumaczki jej wierszy na angielski, która z gracją prowadzi wieczór. Druga córka, Grażyna Kosk-Wiśniewska, śpiewa teksty mamy, akompaniując sobie na gitarze. Sama ułożyła te nuty. Nie, nie ułożyła – ona je tylko odegrała, bo muzyka jest wpisana w słowa jak wiatr w korony drzew.

Muzyka i wiatr... orkiestra i chór. Tak, teraz to naprawdę jazz. Amerykański kompozytor Philip Olsen, uwiedziony czarem tej poezji, stworzył „Polski Tryptyk” – muzyczną ilustrację do trzech wierszy pani Lidii (w przekładzie Danuty E. Kosk-Kosickiej): „Z okna mojego mieszkania”, „Powinności”, „Zegar tyka”. Słuchamy. W tle przesuwają się obrazy – zainspirowany dziełem Olsena film Ryana Sevela. Głos pani Lidii w przerwach między fragmentami tryptyku, czytając treść utworów, wydaje się być integralną częścią widowiska. Głos to też muzyka. Jest nią samo brzmienie słów.

Uczestniczki warsztatów literackich prowadzonych przez panią Lidę dziękują jej za pomoc przy powstawaniu ich twórczości i wydaniu tomików z których teraz czytają zebranych swoje wiersze i opowiadania.

Kulminacja: wiersz Lidii Kosk „Szklana góra” w dziewięciu różnych językach. Polski, angielski, czeski, węgierski, serbski, niemiecki, rosyjski, japoński... Brzmienie słów. Rytm. Melodia.

Można próbować rozumieć poprzez słowa. Można próbować rozumieć poprzez dźwięki. Wsłuchajmy się w nie. Jak w muzykę. Jak w poezję. Jak w to, co niewystawione.

Jest koniec listopada. Wciąż się wsłuchuję: (...)
przeleciał wiatr / porwał czas / rozsypał zdarzenia / na nuty // w dźwięku trwam (...)

Lidia Kosk, „Słuchając jazzu”

Eliza Saroma-Stępniewska